



# WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży i Dzieci.

*Z poezji Maryi Konopnickiej.*

## Jakie umiem piosenki.

Umiem piosenki z nad łąki  
Takie, jak nuca skowronki,  
Kiedy piórkami szaremi  
Pod niebo lecą od ziemi,  
Na ziemię lecą i dzwonią,  
Nad polem naszym, nad bło-  
[nią!

Umiem piosenkę jaskółki,  
Gdy lata wkoło rzeczułki,  
I dźwięcznym głosem coś  
[nuci,

Czy się weseli, czy smuci,  
Albo na gniazdko gdy leci,  
I śpiewa do snu dla dzieci.

Umiem piosenkę żniwiarzy,  
Gdy pot im ścieka po twarzy,



A oni, brzęcząc w swe kosy,  
Tną żyto srebrne od rosy —  
I głos roznoszą daleki,  
Aż echo klaszcze od rzeki.

Umiem piosenkę wieczoru,  
Gdy owce idą z ugoru  
I krowka z pola łaciata,  
Gdy trzaska stary Jan z  
[bata,  
A ponad wszystkim fujar-  
[ka  
Dźwięczy małego owczarka.

U nas piosenek bez liku,  
Tyle co kropel w strumyku,  
Tyle co liści na drzewie,  
A skąd się biorą, nikt nie wie,  
Tak już z powietrza ot płyną,  
Nad naszą wioską jedyną.



## Marya Konopnicka.

W roku bieżącym upływa dwudziesty piąty rok pracy literackiej Maryi Konopnickiej, która i dla młodzieży wiele pięknych napisała utworów. Z tego powodu poświęcamy jej ten artykuł.

Konopnicka urodziła się w Suwałkach w r. 1846. W wieku dziecięcym straciła matkę i chowała się pod wyłączną opieką ojca, Józefa Wasiłowskiego, o którym dotąd przechowuje najżywsze, pełne czci i miłości wspomnienie, jako o człowieku prawych i niezłomnych zasad, głębokiej, żywej wiary i szczerzej pobożności, przy umyśle podniosłym i ukształconym, lubo cichym, zamkniętym w sobie i nic nie mającym na popis. Pod jego to głównie kierunkiem, żądnej mistrzyni ni dozorczyni nie mając, odebrała poetka nasza wychowanie pierwotne. \*)

Kochający ojciec zajmował się troskliwie dziećmi, pozostawionymi bez opieki macierzyńskiej, a najwięcej może poświęcał czasu zdolnej i pojętnej Maryni, z którą prowadził nieraz pouczające rozmowy, albo też czytywał jej poważne książki, rozwijając w ten sposób jej umysł i serce.

Ojciec, zebrawszy dokoła siebie całą gromadę dźwięku, czytywał im często sam wyjątki z Pisma świętego, później przysłała kolej i na autorów świeckich, takich, jak Kochanowski, wreszcie Mickiewicz. Prócz tego ojciec poetki czytywał jej niekiedy swe własne tłumaczenia Psalmów Dawida, lub wykladał jej greckich i łacińskich autorów.

Kiedy była już dorastającą panią, ojciec oddał ją na rok do Warszawy na pensję pp. Sakramentek; następnie powróciwszy do domu, niedługo w nim gościła, wkrótce bowiem wyszła za mąż i zamieszkała w dziedzicznej wiosce małżonka swego, w Bronowie, położonej w powiecie Łęczyckim. Tam to nauczyła się kochać lud wiejski, którego pracy przyjrzała się z bliska, aby kiedyś opiewać go w swych ślicznych poezjach, tam także pokochała lasy, pola i wody, największe znalazłszy upodobanie w błąkanii się po alejach starego ogrodu, lub po mszystych ścieżkach leśnych, gdzie wsłuchując się w szelest wiatru w gęstwinie liści, w ciszę uroczystą wieczoru, czuła, jak duch jej wznosi się coraz wyżej.

Raz, krzątając się koło gospodarstwa domowego, zajrzała w jakiś kącik na strychu i tam odnalazła starą, zapomnianą bibliotekę, składającą się z dzieł poważnych. Odtąd po skończeniu zajęć domowych, zabierała książkę i udawała się do ogrodu lub pobliskiego lasu. Tam czytała i rozmyślała nad tem, co przeczytała, a w duszy budziło się pragnienie zdobycia szerszej wiedzy.

Czytelnicy mogą się przekonać z tego, jak przy wielkim nawet talencie potrzeba pracy i nauki daje się uczuć; ileż to razy panią lub chłopczyk, napisawszy zrećznie wypracowanie, wyobrażają sobie zaraz, że mogą zostać autorami, ba, nawet chcieliby zaraz to co napisali, podać do druku, zapominając o tem, że aby stanąć w rzędzie autorów, trzeba się długo uczyć, pracować i rozmyślać.

Poetka nasza, zapadłszy na zdrowiu, musiała w 1875 r. wyjechać do Szczawnicy. Wspaniała przyroda górską uczyniła na niej nadzwyczajne wrażenie, to też po powrocie napisała cały szereg pieśni p. t. „W Górach,” które za radą przyjaciół podała do druku. Niebawem spotkała ją pociecha; poezje jej zwróciły na siebie uwagę wielkiego pisarza, również wówczas dopiero rozpoczynającego, Henryka Sienkiewicza, który napisał o nich bardzo pochlebnie w Gazecie Polskiej w swoich „Listach z Ameryki.” Poetka, jak sama opowiada o sobie, rozpląkała się z radości, przeczytawszy jego słowa; były one dla niej zachętą do dalszego tworzenia.

W kilka lat potem dla kształcenia dzieci zamieszkała

stale w Warszawie, gdzie i sama też zabrała się do poważnych studyów. Talent jej rósł tymczasem coraz więcej; niektórych z jej poezji ludzie uczyli się na pamięć. Najsilniej dźwięczy w poezjach Konopnickiej nuta współczucia dla niedoli maluczkich, którą opiewa w pieśniach „Na fujarce” i innych. W poemacie „P. Balzer w Brazylii,” opisuje smutne losy wychodźców w tym zamorskim kraju, tęskniących do wsi rodzinnej.

Konopnicka bawi od lat wielu za granicą, skąd przesyła swe piękne poezje, w których obok zachwytów nad obcą przyrodą i sztuką, odzywa się tęsknota do tych łąk i pól, i do tego „szumiącego boru” do tego „złotego słońka.” Umie ona zaśpiewać, jak głos fujarki pastuszej, wyciętej z wierzbiny.

Dzieci ukochała szczerze, ofiarując im kilka razy zbiór prawdziwych perełek, a w każdym wierszyku odzywa się nuta taka serdeczna, swojska. W „Nowem Łatku” np. jakże cudnie opisana jest św. Agnieszka, która ze złotej klatki wypuszcza na wiosnę różne plectwo.

Leć już skowronku, z piosnką śpiesz,  
Gdzie pada siewne ziarno,  
Serce oracza wśród znoju ciesz,  
Ośpiewaj ziemię czarną.

Albo kiedy opowiada, jak kwiatki wędrowały wszędzie za Panem Jezusem, wówczas gdy on chodził po świecie. —

*M. Łopuszańska.*



Zofia Kowerska.

## W SUCHOWSKIM DWORZE.

(Dalszy ciąg.)

Rewolwer? Przepraszam... Na co panu rewolwer w nocy?

— Nie mogę tego powiedzieć, ale proszę, by mi go pan dał na parę godzin... lecz nie mogę powiedzieć, co mię skłania do zaniesienia do pana tej prośby.

— Kochany profesorze, czy pan kiedy strzelał?

— Strzelałem w młodości do celu... trochę do ptaków na wakacjach, gdy byłem w trzeciej klasie. Zabiłem nawet w mojem życiu...

— Zabił pan?...

— Wronę.

— No, przyznaję, że wolałbym pana widzieć uzbrojonego w dźidę, oszczep, włócznię, miecz i w całą zbroję jednego z bohaterów Grecji, niż w broń palną... nawet bym wolał w sztylet lub puginał... ale, skoro pan sobie życzy...

Obadwaj, pocichu, żeby nie budzić Józia i Zdzisia weszli do pokoju pana Zabrzskiego. Zdawało im się, że słyszą jakiś szep, ale wszystko ucichło. Pan Zabrzski zdjął ze ściany nad łóżkiem rewolwer i oddał go profesorowi z jednym cicho wymówionem słowem:

— Nabity. Siedm strzałów.

— Dobrze.

— Profesor wziął broń niezrećznie, jak człowiek, który nigdy nie ma z nią do czynienia i schował ją do kieszeni. Pan Zabrzski zaś jęknął cicho jak ten, który ma najgorsze przecucia.

\*) Adam Pług. Kłósy 1882 r.

Gdy się drzwi za nim zamknęły, Józio i Zdziś podnieśli się na swoich postłaniach, jak sprężyny, które odskakują. Usnąć dotąd nie mogli i dzielili się jeszcze z sobą wspomnieniami pełnego wrażeń dnia.

— Widziałeś? — rzekł szeptem Józio.

— Widziałem — odparł Zdziś. — Co pan profesor będzie robił z rewolwerem? Wiesz, że to ciekawa rzecz! Ach, jak jabym chętnie z nim poszedł!

— Może chce, tak jak my wczoraj, obejść dom i zabudowania wkoło.

— Ale gdzie tam! Przecie słyszał, że tatuńcio kazał na dzisiaj dodać stróżowi jednego fornała do pomocy. Zresztą cyganie siedzą w kozie, a o innych złodziejach nie słysząc. Taki jestem ciekawy, że aż strach.

— I ja jestem ciekawy. Może się czego jutro dowiemy, a teraz śpijmy!

— Gdzież tu zasnąć, gdy kogo ciekawość pali, jak ogniem?

— Ale trzeba spać. Już nie mówmy nic, to zaśniemy.

— Ja pewno nie zasnę!

— Jak dobrze zechcesz, jak sobie nakażesz silnie, to uśniesz.

Wkrótce, może za dwie minuty, dał się słyszeć spokojny oddech Józia. Zdziś wstał cicho, zapalił świecę stojącą przy łóżku ojca, pod kołdrę swoją wsunął kapę ułożoną w kształt śpiącego ciała, z ręcznika zrobił kształtu głowy ludzkiej, kulę tę położył na poduszce i wszystko okrył tak, jak gdyby tam leżał z głową wsuniętą pod kołdrę. Każdy spojrzawszy na tę improwizowaną postać, byłby przysiągł, że pod kołdrą spoczywa kilkonastoletnie dziecko. Po dokonaniu tego oszukaństwa, Zdziś ubrał się prędko, na krzesło obok łóżka ułożył ubranie ojca, wyjęte z szafy, rzucił na to część bielizny dziennej Józia i rozejrzawszy się po pokoju, by zbadać, czy nie zostawił za sobą żadnych śladów swego podstępного czynu, zgasił świecę i wyszedł na palcach z pokoju.

Równie cicho wszedł do kancelaryi ojca, gdzie były różne stare bronie, zapalił świecę a potem wsunawszy się na palcach do dziecinnego pokoju, gdzie były szafy z zabawkami i wszelkimi rzeczami, będącymi własnością dzieci, wziął łuk należący do Józia, strzały przez niego własnoręcznie przygotowane z trzciny i gwoździ, łuk ten wraz z sajdakiem przewiesił przez plecy i tak uzbrojony, wyszedł do ogrodu drzwiami od werendy. Prędko obiegł dom wokoło i zaczajony w kłębie przy bramie, czekał. Serce biło mu w piersi jak młot i każda minuta wydawała się godziną. Drżał ze strachu i wstydził się tego przed sobą samym. Przecie był doskonale uzbrojony i nie miał się czego bać; tworzyły go jednak ciemności, każdy szelest dochodzący go z daleka odbijał się w jego uszach w dziewięćkroć powiększonych echach. Nagle drgnął, jak gdyby go przeszła iskra elektryczna. Usłyszał wyraźnie otworzenie się drzwi wchodowych domu, a wkrótce potem ujrzał w świetle księżycy postać męzką, kroczącą ku bramie. Gdy się zbliżyła, poznał profesora idącego spokojnie, z twarzą poważną i pogodną. Nie śmiał się ruszyć, nie śmiał oddychać, był pewien, że profesor usłyszy bicie jego serca, które już nie młotem lecz taranem waliło w jego piersi. Uspokoił się trochę, gdy z ust profesora wyszły wypowiedziane melodyjnie poetyczne wyrazy:

„Syzyfa takem widział i to w strasznych mękach: \*)  
Ogromną bryłę skały dźwigał on na rękach,  
I wtaczał ją na górę z mordęgą niemają,  
Podsadzając się pod nią, a gdy się zdawało,  
Że ją wtoczył już na szczyt, skrecała się skała  
I z łoskotem piorunu znów na dół spadała,  
A on znów ją pod górę wtaczał.”

Poczekawszy aż się profesor oddali tak, by jego postać widniała w świetle księżycowem, lecz by jego kroków

słysząc już nie było, Zdziś puścił się za nim. Teraz przyszło mu na myśl, że może być profesorowi pomocą w jakimś wypadku, któryby go mógł spotkać i ta myśl odpędziła resztę strachu. Szedł z okiem utkwionem w czarną postać profesora, i już był o dobry kawalek od domu, gdy nagle usłyszał za sobą spieszne kroki człowieka biegnącego. Odwrócił się, zdjął spiesznie łuk z pleców, naciągnął strzałę i wypuścił ją, mierząc w napastnika, który ze słowami: „Ja ci tu dam!” biegł ku niemu. Strzała musiała dosięgnąć przeciwnika, bo syknął z bólu, ale zbliżał się coraz bardziej. Zdziś rzucił się naprzód, lecz sam nie wiedział kiedy i jak jakaś ciężka ręka zwała się na plecy i wzięła go za kołnierz. Ręka ta wykręciła go jak piłką twarzą ku światłu księżycy i nagle kleszcze jej się rozwarły, a głos stróża Wojciecha odezwał się:

— To panicz? A cóż to panicz po nocy robi na polu? Co prawda to nie grzech, myślałem, że który cygańczyk... Jeszcze szczęście, że miesiąc wylazł jak dynia na niebo, bo jużem z za pasa wyciągnął taką przyjaciółkę, co ją zawsze przy sobie noszę!

I stróż w świetle księżycy rozwinął długą, kilkorzęmienną dyscyplinę.

Ach, Boże, ryerczowi uledez w walce z pospolitą, nierycerską dyscypliną!

Zdzisia oblał rumieniec wstydu i doznał niejakej pociechy dopiero wtedy, gdy Wojciech rzekł z zadziwieniem i niejaka pogardą:

— A cóż to za gwoździ panicz w rękę mi wpakował? Oo... toć mię on skaleczył naprawdę! A jużci krew!

I Wojciech kroplę krwi z grubej, spracowanej ręki obcierał.

Zdziś zaczął z całego serca żałować swego postępku.

— Przepraszam was, Wojciechu! — rzekł błagalnym głosem — ja myślałem... nie wiedziałem, kto za mną goni...

— A cóż to, jaskinia zbójców, czy co? Przecie jesteśmy nie dalej od domu jak o staję drogi.

— Przepraszam...

— To tam dla mnie taka kolka, to jakby mię komar ukąsił! Niech panicz idzie spać i tyła! Po co się to paniczowi po nocy włóczyć?

— A Wojciech sam mówił, że taki człowiek, co chodzi po nocy, jest mądrzejszy od takiego, co pod pierzyną, albo i pod płachtą...

— Co prawda, to nie grzech; jużci je mądrzejszy!

— Niech mię Wojciech puści. Ja idę za panem profesorem.

— Aa... To przecie nie święty Jan i paproć dziś o północy nie kwitnie!

— Ale mamy swoje interesa — rzekł Zdziś z wyśzością.

— Ha, widziałem, jak pan profesor poszedł, a potem patrzę... ktoś się za nim skrada.. Jak z panem profesorem, to niech panicz idzie. Panowie to mają swoje różne obrządki!

Zdziś puścił się biegiem, żeby czasem nie stracić z oczu profesora, a Wojciech został, kiwając głową z politowaniem.

Tymczasem pan Zabrzęski, dawszy profesorowi rewolwer, wrócił zamyślony do saloniku. Pani Zabrzęska z niepokojem podbiegła ku niemu.

— Powiedz mi prawdę, czy pan Chlewiatko mówił ci coś o dzieciach? Czy któremu z nich nie grozi jakie niebezpieczeństwo? Co on ci mówił, czego chciał?

— Uspokój się, moja droga, wszystkie dzieci są zdrowe i nic im nie grozi. Widziałem w tej chwili Józia i Zdzisia śpiących spokojnie.

— Ale coś się stało! Profesor miał minę niezwykłą! nie ukrywaj nic przedemną!

— A więc powiem ci całą prawdę. Profesor zażądał ode mnie rewolweru, i nie chciał mi powiedzieć, co zamierza z nim uczynić.

\*) Odyseja. Tłómaczenie Siemińskiego z pieśni XVIII-ej.

*Sadwiga Warnkówna.*

## Listy z wycieczek po kraju.

15/7 1901 r.

Droga Madziu! Odpisuję ci na twój list prędzej, niż się sama tego spodziewałaś, ale bo też od trzech dni jesteśmy uwięzieni w mieszkaniu, a w takich warunkach pisanie staje się rozrywką, jeżeli — jest ciepło w pokoju. Tego jednak niestety powiedzieć nie mogę. Nie dość, że na dworze szaruga, niebo ołowiane, błoto po kostki, ale w mieszkaniu takie zimno, że się ani w dzień ani w nocy rozgrzać nie można! Niepogoda w górach, choć tak niewielkich, jak około Ojcowa, jest chwilą bardzo przykrą. Zniknęły piękne widoki; odłożone do nieograniczonego czasu — przyjemne wycieczki, przerwa na kąpiel, siedź w ciasnym pokoju dzień cały, a jeżeli musisz pójść do restauracji, albo na pocztę, to brodz w błocie, jak czapla. A błoto tu takie grzązkie, że można w niem kalosze pogubić, zwłaszcza wieczorem, bo na oświetlenie dróg i parku jeszcze się Ojców nie zdobył.

W nadziei, że niezadługo kochane słonko znów nad doliną Ojcowską zabłyśnie, znoszę z całą odwagą i cierpliwością zimno i niepogodę; zresztą — brak cierpliwości nieby tu nie pomógł, a praktykowanie tej cnoty nie jest w tym wypadku cnotą, ale koniecznością.

Wczoraj zapytałam jednego wieśniaka, jak sądzi, czy długo będzie padać. Odpowiedział mi na to: „strasznie się zamroczyło; czasem, to i bez dwie niedziele potrafi tak lać.” Ale drugi, widąc weselej na świat patrzący, dodał: E, ustanie, ustanie! „Jak się wysuszy, to się wykruszy,” co miało pewno znaczyć, że jak przyjdzie czas, to i złe minie. Czekajmy więc tej błogiej przemiany, a tymczasem posłuchaj o grotach, które już zwiedziliśmy.

Jaskiń około Ojcowa jest mnóstwo. Prawie w każdej skale mieści się jakaś pieczara lub choć mała jamka. Wszystkich oglądać nie sposób; idzie się do największych i najgłówniejszych.

Najpierw wszyscy przyjezdni podążają do Królewskiej czyli Łokietkowej grotki, do której przywiązane jest podanie, że to w niej właśnie ukrywał się Łokietek w ucieczce przed Czechami. I my zrobiliśmy tak samo. Pewnego dnia po obiedzie wzięliśmy przewodnika i udaliśmy się na górę Chełmową, a stamtąd do pieczary. Na górę tę, wznoszącą się na 1265 stóp nad poziomem morza, wejście jest dosyć wygodne. Idzie się ciągle wśród lasu, najpierw drożyną, a potem wykopaniami w ziemi schodami. I na tej górze, tak jak na Świcie, wznosi się krzyż, ale cały żelazny, z położonym wizerunkiem Chrystusa.

— Niech państwo tu patrzają — mówi przewodnik, wskazując na stronę południową. — Krajobraz odmienny: równiny z falującym zbożem, porozrzucane włoski, a dalej, dalej, jakby za niebieskawą mgłą, Krakowa wieżyce. W prostej linii do granicy galicyjskiej tylko mila; przy dniu pogodnym wi-



*Marya Konopnicka (str. 146).*

dać więc doskonale, zwłaszcza przy pomocy lunety — zamek wawelski, kościół Maryacki, inne główne budowle.

Za Krakowem, we mgle, czy obłokach giną Tatry. Domyśleć się ich trzeba w nierównym, ciemnym pasie, wyglądającym jak skłębione chmury na samym dole widnokregu.

Miałam wielką ochotę posiedzieć dłużej na górze Chełmowej. Tak tam było przyjemnie; drzewa tak pachniały i taką cichą pieśń nuciły w swych wierzchołkach, ale wybraliśmy się zbyt późno i przewodnik naglił do drogi, aby zwiedzić groty i wrócić do domu przed zapadnięciem zmroku.

Skręciliśmy w bok i szliśmy najpierw lasem, a potem ścieżką polną około dosyć bujnego żyta. W pół godziny doszliśmy do pieczary. Przewodnik zapala w kaganku łuczywo i idzie naprzód. Przechodzimy długi korytarz, i niebawem znajdujemy się w obszernej pieczarze. Przy blasku łuczywa widzimy zakopcone ściany i strop jaskini; kaganek naszego przewodnika jeszcze kopci trochę przysparza... Z tej komory przez ciemny korytarz wchodzi się do jamy z otworem u góry; nazywają ją przewodnicy kuchnią Łokietka. Z owej kuchni, w której zapewne niezbyt królewskie przyrządzano Łokietkowi obiady, po bardzo ciasnych i niewygodnych schodach wchodzi się do obszernej pieczary, którą uważają za właściwe schronisko Łokietka. Pokazują tam nawet jego łożo, naturalnie — kamienne. Czy na niem rzeczywiście spał ów dzielny król, tego pewnie już żadne kroniki nie wyświecą.

W grocie Łokietka znalezione dawniej mnóstwo kości niedźwiedziej, widać więc, służyła ona tym zwierzętom za legowisko. A ludzie? Czyż oprócz Łokietka, nie szukali w pieczarze schronienia? Bezwątpienia, że była ona niegdyś i ludzką siedzibą. O! gdyby te zadymione ściany umiały mówić, ileby ciekawych rzeczy opowiedzieć mogły. Dowiedzielibyśmy się, jak i kiedy owa jaskinia powstała, jak długo służyła za mieszkanie ludziom przedhistorycznym, nie umiejącym budować chat, jak wreszcie w późniejszych czasach, stawała się ona schroniskiem zbiegów, opryszków lub nawet, w czasie wojen — osiadłej w okolicy ludności.

Oprócz grotki Łokietka zwiedziliśmy jeszcze groty Ojcowską, leżącą około skał: Rękawicy i Igły, po przeciwnej stronie Prądnika. Ta grotka jest przepyszna! Wyobraź sobie wspaniałą, sklepioną salę, rozmiarów olbrzymich, bardzo foremną, bo prawie wszędzie równo szeroką. Wchód do niej łatwy, a ponieważ jest prawie widna, nie jest tak okopcona jak Łokietkowa. Najciekawsze ze wszystkich grot są: Wierchowotka i Mamutowa. Droga do nich dość daleka; trzeba jechać wózkami. W Wierchowotkiej znajdują się jeszcze stalaktyty, których w innych szukałabyś napróżno. Pooblamywali je turyści i przewodnicy na handel, bo gdy którego z nich o tę właściwość jaskiń zapytać, to wyciąga stalaktyt z kieszeni i ofiaruje ci go, za co naturalnie, każdy się czuje w obowiązku przewodnikowi zapłacić. Mamutowa jest dla tego tak nazwana, że w niej dwaj bada-



*Grotka Łokietka w Ojcowie.*

cze jaskiń Ojcowskich: hr. Zawisza i profesor Ossowski, znaleźli zęby i kły mamuta.

Znaleźli oni także w tej samej jaskini ślady ogniska, a obok niego różne narzędzia z krzemienia i kości. Z ogniska tego widać, że z owem zwierzęciem przedpotopowem żył tu razem i człowiek.

Ani słowa, przyjemne towarzystwo!

Z pod skały, w której się grot mieści, wypływają liczne źródła, tworzące o wiorstę dalej dosyć ładny i duży staw.

Ale dosyć już o grotach. Gdy przyjedziesz na rok przyszedł do Ojcowa, to je sama obejrzyysz. Są one bardzo ciekawe, przynajmniej dla mnie. Nie wszyscy są jednak tego zdania. Pewna panią, z którą się tutaj zapoznałam, mówi, że nie cierpi tych ciemnych, brudnych dziur i że wszystkie są do siebie podobne. Była ona z nami w gro-

## Stefek Luty w Brazylii.

przez  
Z. Bukowiecką.

(Dalszy ciąg).

### Rozdział XIII

List z Wągrowca. — Oplatek. — Własne pieniądze. — Szaleństwo Nesabila. — Pieszczota lekarstwem. — Góry. — Barak. — Nędza. — Wyrzuty sumienia. — Chce ratować. — Powrót do miasta. — Kogo spotkał? — Dawny znajomy. — Zmowa. — Orszak z pochodniami.

Kochany Stefku!

„Ucieszyłem się bardzo, powziąwszy z twego listu wiadomość, że jesteś zdrow i że, chociaż groziło ci wiele nie-



Posel króla angielskiego Edwarda VII i składa Ojcu św. własnoręcznie pismo z życzeniami z powodu 25 letniego jubileuszu Leona XIII-go.

cie Łokietkowej, ale, że jest wielką strojnisią, wybrała się pomimo przestróg ludzi doświadczonych, w białej sukni i lakierowanych bucikach. Możesz sobie wyobrazić, jak jej buciki po powrocie z wycieczki wyglądały, bo na brzegu pieczary było grzazkie błoto. Weszła tylko do pierwszej komory, bo jakże miała w owych śnieżystych szatach przeciskać się aż do właściwej pieczary Łokietka. Co za śmieszna próżność! Nieprawda? Ze też to niektóre osoby nie umieją się ubrać stosownie do okoliczności.

Tak się rozpisalam, że zapomniałam i o deszczu i o zimnie, a jednak ani o pół stopnia się nie ociepliło i deszcz pada i pada, wiatr szumi i szumi, a Prądnik jakiś gniewny, brudny, szary, płynnie a płynnie, a szemrząc gderliwie, ucieka wartko, aby jego nabrzmiałe wody nie wystąpiły z koryta.

Bądź dobra i odpisz niedługo. *Helu.*

bezpieczeństw, zawędrowałeś szczęśliwie aż do Londynu. Jeśli zaś źli ludzie napędzili ci strachu, to słusznie, mój bracie, zostałeś ukarany za samowolne opuszczenie warsztatu. Zasmuciłeś tym postępkim i mnie i swego dobrego majstra. Ale należy ci przebaczyć czyn zbytnej krewkości, bo i Bóg w miłosierdziu Swem przebaczyć ci raczył, skoro Opatrzność Jego uratowała cię dwa razy od śmierci.

Cieszę się, że pod dobrą opieką jedziesz do Ameryki. Słuchaj rad pana O'Cleara, pracuj, a da Bóg, wrócisz do nas kiedyś rozumnym i użytecznym człowiekiem. List mój, tak, jak sobie życzyłeś, odbierzesz w Rio Janeiro, że zaś dojdzie on twoich rąk niedługo przed Bożem Narodzeniem, więc posyłam ci w nim kilka oplateków. Przełam się wedle starego zwyczaju chlebem Bożym z naszymi wychodźcami, znajdziesz pomiędzy nimi dużo biedaków, staraj się im pomóc, skoro sam doznawałeś i doznajesz pomocy od lu-

dzi. Redde quot debet, oddaj coś winien, winien zaś jesteś wiele, bracie, wiele też po tobie oczekiwać mam prawo. Tymczasem jednak ja to raczej jestem twoim dłużnikiem, bo urósł ci spory grosz w banku ludowym z funduszu, który dostawił dla ciebie pierwszy twój dobrodziej, pan Rycerski. Rozporządzasz w tej chwili 205 talarami i pieniądze te prześlę ci do Ameryki, gdy mi doniesiesz, gdzie się na stałe osiedlasz. Obyś użył grosza dobrze i rozumnie.

Dziękuję ci za twoją dla mnie życzliwość, tylko że z mojem zdrowiem, o które pytasz, coraz gorzej się dzieje i wątpię, ażali doczekam chwili twego do nas powrotu. Organistowie i kościelny dziękują także za pamięć, kazali cię pozdrowić. Co zaś do Marysi, którą wypiaستowałeś na własnych rękach, to ta dziewczyna ma szczęście. Wzięto ją teraz na opactwo i uczy się wszystkiego, co białogłowie umieć przystoi. Dzięki zacnej opiekunce wyrośnie przy łasce Bożej na uciwiwą niewiastę.

Nasza szkoła odkryła się sławą, uczniowie złożyli chwalebne egzaminy, była też z tej racji u mnie 15 września generalna konferencja nauczycielska. Rozpoczęła się nabożeństwem w kościele, poczem w szkole był egzamin dzieci i czytano rozprawy. Piszę ci to, mój Stefku, gdyż wiem, że cię to zajmuje. Twój majster jeszcze na ciebie zagniewany, ale Adamka, uznawszy jego niegodziwość oddalił już z warsztatu.

Tyle miałem ci do doniesienia, a teraz przysyłając moje błogosławieństwo i polecając cię łasce Bożej proszę o rychłą wiadomość

Luty czytał i odczytywał list węgrowskiego proboszcza. Oglądał papier na wszystkie strony w nadziei, że znajdzie dopisek, który powie mu coś jeszcze o znanych ludziach i miejscach. Potem wyjął z koperty opłatki i położył je przed sobą na stole, były połamane, ale właśnie te okruchy przypominały Stefanowi przeszłość. Tak mało dogadzano w dzieciństwie jego łakomstwu, że na wspomnienie okruchów opłatka, które zjadał razem z Marysią, dziś jeszcze lykał slinkę. Marysia! jakże się ucieszył jej nauką.

— Rozporządzasz w tej chwili 205 talarami — pisał proboszcz i ten ustęp listu utkwiał w pamięci naszego bohatera. Czyż istotnie posiadał na własność tyle pieniędzy? Jakób nie skąpił mu ich nigdy, doznał jednak przyjemnego uczucia myśląc, że z tak znaczną sumką rozpocznie prace w Brazylii.

Gdzie, i jak rozpocznie, tego nie wiedział sam. O'Clear zajęty sprawami kraju, nie mówił z nim dotąd o przyszłości, a Stefan chciał przedewszystkiem zdać sobie jasno sprawę z położenia wychodźców polskich. Nie był jeszcze w Izabel, bo w niespełna trzy dni po wylądowaniu wezwano go na wyspę kwiatów do Leona. Biedny idyota zachowywał się dotąd bardzo spokojnie, pełnił chętnie wszystkie posługi, szukał tylko ciągle Stefana, i korzystał z każdej wolnej chwili, żeby wybiegać na drogę, na której spodziewał się go ujrzeć. Aż nagle, po jednej z takich wycieczek wrócił okropnie blady, porwał nóż leżący na stole i pędził wprost nad morze, machając nożem jak Zulus assagają.

— I tu! i tu przyszedł! nie dam, zabiję zabiję — krzyczał, grożąc urojonemu nieprzyjacielowi, aż wyczerpany gniewem padł bez duszy na ziemię.

Podniesiono omdlałego Leona, ale choć przyszedł do przytomności, nie przestał wzywać Stefana, jak gdyby miał powiedzieć coś ważnego.

— Był! był! — krzyczał — kiedy słusarczyk wszedł do baraku — był, chce ukąsić, oh, on kąsa! Boże bądź miłościw grzesznej mojej duszy — zawołał i zemdlął po raz drugi.

Przywołano doktora. Stary Smith Sidney pokręcił głową. — Na tę chorobę niema lekarstwa w aptece.

— Przywidzenia, rzadki, lecz zdarzający się objaw idyotyzmu — powiedział, zapisawszy brom i wrócił do chorego, od którego go odwołano.

— Przywidzenia, zapewne nie co innego — myślał Stefan, siedząc przy łóżku Leona. Uspokajał go, próbując trafić do rozsądku idyoty, a gdy to nie pomagało, głaskał pieszczotliwie wychudłą i zbolałą twarz chłopca. Dobre serce Stefana znalazło skuteczniejszą od bromu lekarstwo. Ziemiak przestał krzyczeć, schwycił rękę naszego bohatera i tulił ją tak długo, aż usnął, jak dziecko, któremu płacz przyniósł ulgę.

— Co to wszystko znaczy? — myślał Luty wracając do Jakóba po zupełnem uspokojeniu Leona, z którym przebył dwa dni w baraku. — Przywidzenie idyoty — powiedział doktor, tego samego zdania był i O'Clear, a jednak Luty nie mógł pozbyć się wrażenia. Doznawał tego uczucia i dziś. Korzystając z chłodnego poranka szedł do Izabel sprawdzić rzetelność opowiadań Marcinowej. Stada zielonych papużek przelatowały między gałęziami drzew, tukan, ukryty za grubym konarem cedru, odzywał się głosem podobnym do naszego kukułki, a w powietrzu brzęczały przepięknie ubarwione chrząszcze. Wyglądają one jak fruujące latarki, tak jasno błyszczą dwa świecące punkty, które natura uposażyła dziwne te owady. Kolibry, nie wiele większe od chrząszczy, wysuwały z pomiędzy liści długie swe i cienkie dzioby.

— Pięknym jest Boży świat — myślał Luty, podziwiając różnobarwność kwiatów i owadów, podziwiając zwłaszcza majestatyczną powagę gór, do których się zbliżał. Droga kończyła się w tym miejscu lasem wielkich dębów, zwanych Carwalha. Poznał, że stanął u celu.

Na dnie szerokiej rozpadliny stały długie, zbite z desek i deskami pokryte budynki. Kałuże błota broniły do nich dostępu, a wilgoć i stęchlizna wionęły na Stefana zaduchem zgnilizny.

— To tu, w tej pustce, mieszkają nasi — zawołał. Zdjął go żal i wstyd, bo porównywał komfort hotelu z nędzą baraków. Wszedł do środka, ale cofnął się od progu. Nie mógł znieść wyziewów, jakimi przejęte było schronienie wychodźców. Kilkadziesiąt osób dorosłych, kilkoro mizernych i wychudzonych dzieci sypiało tu na nędznych słomianych matach. Upał był nie do wytrzymania. O takim brudzie, o takim poniżeniu godności ludzkiej nie miał pojęcia Stefan, chociaż nad jego kołyską nie czuwała troskliwa matka, i bieda dała mu się często we znaki.

Budynek był pusty, tylko w kącie na rozłożonej rogoży leżało kilku chorych. Liście palmowe służyły im za wachlarze, odpedzali niemi komary, których gęste roje unosiły się nad kałużą. Po drugiej stronie baraku przy rozłożonem ognisku gotowali wychodźcy czarną fasolę i piekli podpłomyki z mandjokowej maki.

Przybycie obcego zwróciło uwagę biesiadujących. Kilku z nich podniosło głowę, inni patrzyli obojętnie na Stefana, byli i tacy, którzy rzucali mu nienawistne spojrzenia. Nikt dotąd w Brazylii nie przyszedł do nich z dobrem słowem, wielu wyzyskało i skrzywdziło. Mogliż biedacy mieć zaufanie do tutejszych ludzi?

Przybyły nie był tutejszym. Jego płowa, jak len czupryna przypominała inne ziemie, inne kraje.

Zdjął z głowy kapelusz, skłonił się obecnym i rzekł jedno tylko słowo:

— Pochwalony!

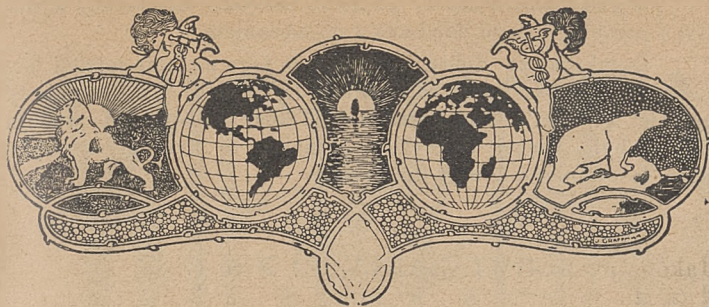
Jedno słowo, ale tkwi w nim wieczysty urok bratniej, z Boga poczętej miłości. Tak witać się zwykły Chrystusowe dzieci, nietylko krwią Zbawiciela odkupione, ale nauczone w imię Jego święte znosić nędzę, krzepiąc się i poznając po pobożnym powitaniu hasła.

I tu nie przebrzmiało ono bez echa. Kobiety porzuciły garnki na dźwięk swojskiej mowy.

— Prawda — rzekła Marcinowa, to ten, ten pewnikiem co się nad jej nędzą użalił.

— Może i nam da jaką radę — mówiła młoda matka, tuląc do piersi nowo narodzone dziecko.

(d. c. n.)



## ZE ŚWIATA.

**Ś. p. Antoni Gustaw Bem.** Przed trzema tygodniami zmarł w Warszawie profesor języków starożytnych, gramatyki i literatury polskiej, Antoni Gustaw Bem. Choć wiele czasu poświęcał nauczaniu młodzieży, zajmował się gorliwie pracami naukowymi i literackimi, a zwłaszcza gramatyką i poetyką. Napisał trzy dzieła pierwszorzędnej wartości z zakresu tych nauk. Zarys wykładu mowy polskiej, „Jak mówić po polsku” i „Teoria poezji polskiej”. Ś. p. Bem urodził się w 1848 r. w Lipsku gub. Radomskiej, do gimnazjum uczęszczał w Radomiu, potem wstąpił do b. szkoły głównej w Warszawie.

**Czy André e i Sverdrup powrócą?** Wkrótce upłynie pięć lat od wzniesienia się z wyspy duńskiej balonu, na którym André e w towarzystwie Strindberga i Fränkla zamierzał dotrzeć do bieguna północnego. Prócz dwóch krótkich notatek oraz kilku przedmiotów do członków wyprawy należących, nie posiadamy żadnych dalszych wiadomości o przebiegu tej niezwykłej i jedynej w rodzaju swym podróży, a wszelkie dotychczasowe poszukiwania nie osiągnęły celu, gdyż nie natrafiono nigdzie na jej ślady. Wobec tego nie wiemy, jaki los spotkał tych śmiałków, którzy dla dobra wiedzy zaryzykowali, nawet — życie.

Jak wiadomo, d. 11 lipca 1897, André e w towarzystwie Strindberga i Fränkla balonem „Orzeł” wznosił się z wyspy duńskiej (jednej z grupy Szpicbergu). W dzień sięć dni później t. j. 20 go lipca 1897 roku kapitan okrętu „Alkon” zastrzelił gołębia pocztowego, którego André e wypuścił z balonu w dwa dni po wzniesieniu się w górę. Gołąb ów miał na sobie (przytwierdzoną do pióra) depeşe, w której André e donosił, że w połunie d. 13 lipca znajdował się pod 82°2' półn. szer. a 15°5' wschod. dług. Ponadto dodane były słowa: „Na pokładzie wszystko dobrze, pomyslna podróż w kierunku wschodnim. To jest trzeci gołąb, którego wypuszczam”.

Od tego czasu natrafiono na kilka tylko mało znaczących śladów śmiałego podróżnika, a wszelkie wieści o pobycie André e wśród Eskimosów, o znalezieniu jego rękopisu na pływającej obok Nowej Funlandyi górze lodowej i t. p., które od czasu do czasu pojawiają się w dziennikach, okazują się nieprawdziwymi.

Ponieważ wiadomość, przyniesiona przez gołębia, świadczy, że dnia 13 lipca „Orzeł” znajdował się pod 82° półn. szer. a 15° zach. dług., a wiemy na pewno, że od 14 lipca począwszy szalała w tych stronach śnieżycy z wiatrem północno-zachodnim, więc balon powinien był — o ile zdołał utrzymać się w powietrzu — wylądować bądźto na Ziemi Franciszka Józefa, na Nowej Ziemi lub na wybrzeżu syberyjskiem w okolicy przylądka Tajmyr. Że to nie nastąpiło, jest rzeczą prawie dowiedzioną, albowiem w okolicach tych pomimo starannych przeszukiwań, nie natrafiono nigdzie na jego ślady.

Powszechnie jest znanem, co zresztą doświadczyłem osobiście podczas austriackiej wyprawy podbiegunowej, że na wysokiej północy przy wilgotnych wiatrach w lecie, żagle pokrywają się lodem; tembardziej mogło to nastąpić w niniejszym wypadku, gdzie jak wiadomo, szalała śnieżycy. Być więc może, że André e dla zrównoważenia ciężaru sko-

rupy lodowej, powyrzucał z balonu część prowiantów i przyrządów, które następnie znaleziono na wybrzeżu Irlandyi i t. d. Jednakowoż mogła zajść i ta okoliczność, że pomimo zmniejszenia ciężaru balon nie zdołał się utrzymać w powietrzu, lecz spadł w morze, a wstrzymany na powierzchni wody zawartym wewnątrz gazem, został zapędzony ku przylądkiowi Karola (na Szpicbergu), gdzie go widziano z pokładu „Fiskeren”.

Możliwe jest wreszcie, że André e, widząc się pędzonym nie ku biegunowi, lecz w kierunku południowego wschodu, powyrzucał niektóre przedmioty w celu wzniesienia się w górę, gdzie spodziewał się natrafić na pomyslny prąd wiatru, któryby balon popchnął ku północy. W tym wypadku może nas dojsć jeszcze wiadomość o losach tej jedynej w swoim rodzaju wyprawy, jakkolwiek nie da się zaprzeczyć, że może upłynąć cały szereg lat, zanim to nastąpi, gdyż ślady jej znajdują się prawdopodobnie w okolicach bieguna północnego, nietkniętych dotychczas stopą ludzką.

Największą wagę przywiązywano do wyprawy Amerykanina Paery'ego, który od trzech lat bawi w północnej Grenlandyi, tudzież do wyprawy kapitana Sverdrupa. Pierwszy z nich nie natrafił nigdzie na ślady André e'go, o drugim zaś od lat czterech blisko nie posiadamy żadnych wiadomości.

Kapitan Sverdrup, komendant okrętu „Fram”, na którym Nansen odbył swą głośną podróż podbiegunową, wyruszył na tym samym okręcie w r. 1898 w podróż do bieguna północnego przez cieśninę Smitha. Dnia 4 sierpnia 1898 roku opuścił „Fram” Upernivik (w zachodniej Grenlandyi) i od tego czasu brak nam wszelkich wiadomości o jego losach. Plan Sverdrupa był następujący: udać się okrętem możliwie najdalej na północ, stąd na saniach starać się dotrzeć do bieguna, a stamtąd powrócić do wschodnich wybrzeży Grenlandyi, dokąd miał się udać „Fram” w tym czasie. W ten sposób spodziewał się wykonać trzy dotychczas nie spełnione zadania t. j. dotrzeć do bieguna, opłynąć Grenlandyę i odnaleźć wyprawę André e'go.

Przed samym wyjazdem zawiadomili znajomych, że na wypadek niemożliwości wykonania powyższego planu posiada jeszcze inny, który jednakże pozostał jego tajemnicą.

„Fram”, którego załoga wraz ze Sverdrupem składa się z 13 osób, został przed wyjazdem w dokach Christianii urządzony i wzmocniony odpowiednio do doświadczeń podczas swej pierwszej podróży z Nansenem i zaopatrzony w żywność na lat pięć, wszelako już najdalej po trzech latach spodziewano się jego powrotu.

Do duńskich kolonij w Grenlandyi nie nadeszła do jesieni roku zeszłego żadna wiadomość o nim, wobec czego przypuszczać należy, że znajduje się w stronach, skąd niemożliwym jest dać znać o sobie. Ale „gdzie” — oto pytanie, na które nie znajdujemy odpowiedzi. Tyle tylko jest pewnem, że „Fram” nie przedostał się do wschodnich wybrzeży Grenlandyi, gdyż składy żywności na wybrzeżu tem przez profesora Nathorsta w roku 1899 złożone — nie zostały wcale naruszone, coby niewątpliwie nastąpiło, gdyby Sverdrup był do tych wybrzeży zawinął.

Przypomnijmy sobie, że przed 20 z górą laty okręt „Jeanette”, wyposażony kosztem wydawcy *New York Herald* dla poszukiwania Nordenskjölda, uwięziony został pomiędzy lodami w dniu 6 września 1879 roku na południu wyspy Wrangla pod 71°35' półn. szer. a 176°6' wsch. dług. Posuwany następnie prądem w kierunku północno-zachodnim, rozbił się 12 czerwca 1881 roku obok wysp Nowosyberyjskich (pod 77°15' półn. szer. 154°59' wsch. dług.), a szczątki jego znaleziono w roku 1884 około duńskiej osady Julianenhaab na południowo-zachodnim wybrzeżu Grenlandyi.

Jeżeli więc „Jeanette”, a względnie jej szczątki, potrzebowały pięciu lat na przebycie drogi 2,900 mil morskich, to nie można się spodziewać, by „Fram”, który prawdopodobnie ma większą przestrzeń do przebycia, przedostał się prędzej do okolic zamieszkałych. Dlatego chociażbyśmy i w roku bieżącym o nim żadnej wiadomości nie

otrzymali, nie powinniśmy się losem jego niepokoić. W historii odkryć podbiegunowych znane są ponadto wypadki o powrocie podróżników, których już dawno uważano za zaginionych.

Jak już powyżej zaznaczyłem, jednym z zadań Sverdrupa były poszukiwania Andréego.

Czy go odnalazł? Czy natrafił na jego ślady?

Dzisiaj o tem nie powiedzieć nie można — dlatego też czekajmy cierpliwie powrotu „Frama” i... miejmy nadzieję.

Stanisław Bobelak.



## MILIARD MINUT.

### Zadanie do nagrody.

Według obliczeń matematyków, dnia 28 kwietnia r. b. o godzinie 10 minut 40 rano upłynęło *miliard* (t. j. 1000 milionów) minut od Narodzenia Chrystusa Pana, czyli mówiąc ściślej, nie od dnia samego Narodzenia, które wypada dnia 25 grudnia lecz od chwili, którą uczony astronom Dyonizyusz Mały, żyjący w VI wieku po Nar. Chr. Pana, przyjął za początek ery chrześcijańskiej, a mianowicie od północy d. 31 grudnia roku poprzedzającego Narodzenie na 1 stycznia 1-go roku nowej ery.

Do VI wieku liczono lata od założenia Rzymu. Dyonizyusz pierwszy obliczył, że Narodzenie Chrystusa Pana wypadło w 754 roku po założeniu Rzymu (podobno omylił się o trzy lata, ale na to niema już rady!) i tym sposobem był założycielem rachuby lat według ery chrześcijańskiej, która następnie wszędzie weszła w użycie.

A zatem w poniedziałek d. 28 kwietnia r. b. o godz. 10-ej minut 40 \*) rano upłynął pierwszy miliard minut ery chrześcijańskiej. Wiedząc, że wśród czytelników „Wieczorów” mamy wielu dobrych matematyków, dajemy im takie zadanie: *kiedy, to jest jakiej daty, jakiego miesiąca i roku, o jakiej godzinie i minucie upłynie drugi miliard minut ery chrześcijańskiej, czyli miliard minut od 28 kwietnia 1902 r. godz. 10 min. 40 rano.*

Nadmieniamy, że obliczenie, ile lat, dni i godzin zawiera miliard minut, nie jest rzeczą trudną, trudniejsze jest ustalenie owej daty kalendarzowej, bo trzeba brać w rachubę lata przestępne.

\*) Według zegaru betleemskiego, a według warszawskiego o godz. 9 m. 44 rano.

W rozwiązaniu należy podawać nie tylko ostateczny wynik, lecz i przebieg całego działania z objaśnieniem.

Redakcja za dobre rozwiązanie tego zadania udzieli *trzy nagrody*: „Dzieci kapitana Granta” J. Verne’a, „W krainie tygrysów” P. Mael’a lub „Pojednani” Teresy Jadwigi, do wyboru. Gdyby było więcej trafnych rozwiązań, to urządzi się między nimi losowanie. A więc do dzieła!

W. R.

### ROZWIĄZANIA DO N-ru 17-go

Szarady: Ra — dom — ka.

#### Prozy przerobionej na wiersze:

Zarżały konie, zagrzmiała podkowa;  
Trzej to rycerze jadą śród parowa;  
Zjechali, stają, a pierwszy z rycerzy  
Krzyknie i w trąbkę mosiężną uderzy,  
Uderzył potem raz drugi i trzeci,  
Strażnik mu z baszty rogami odpowiada;  
Brzękły wrzeczadze, pochodnia zaświeci  
I most zwodzony z łoskotem opada.

(Z „Grażyny” Mickiewicza).

### OGŁOSZENIA.

## TEATRZYK:

#### KOMEDYJKI

po	1. Amator przygód.	po
20	2. Kajtuś plotkarz.	20
kop.	3. Skąpiec.   4. Uczony.	kop.
	5. Niczego się nie boję.	
	6. Łakomca   7. Strachy.	
	8. W cudzych piórkach.	
	9. Złośnica.   10. Próba.	
	11. Panna ciekawska.	
	12. Jest to cnota nad cnotami, trzymać język za zębami.	

#### Wydawnictwo MICHAŁA ARCTA

w Warszawie, Nowy Świat Nr. 53.

Osoba wykształcona poszukuje zajęcia na wyjazd, na letnie miesiące.

Wiadomość w redakcji Wieczorów.

### PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE: rocznie z odnośnieniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

Cena ogłoszeń: za wiersz petitowy, jednoszpaltowy lub jego miejsce — 12 kop.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

**TREŚĆ:** Jakie umiem piosenki, wiersz przez Maryę Konopnicką (z ryc.) — Marya Konopnicka, przez M. Łopuszańską. — W Suchowskim dworze, przez Zofię Kowerską. — Listy z wycieczek po kraju, przez Jadwigę Warnkównę (z ryc.) — Stefek Luty w Brazylii, przez Z. Bukowiecką. — Życzenia Ojcu św. z pow. 25 letniego jubileuszu Leona VIII-go. — Ze świata. — Miliard minut, zadanie do nagrody. — Łamigłówki i rozwiązania. **Dodatek:** Poselstwo z krainy czarów, opowiedział B. Buyno (z ryc.) dok. — Z księgi przysłów, wiersz, przez Łacha. — Braciszek klasztorny przez Z. Morawską. — Skrzynka do listów. — Łamigłówki i rozwiązania. — **Dodatek książkowy:** Na zamku Nasielskim, opowiadanie z pierwszej połowy XVIII wieku, przez Annę Zielińską.

Redaktorka **Ludwika Hauke.** Доводлено Цензурою. Варшава 22 Апрелья 1902 г. Wydawczyni **Marya z Chomętowskich Balińska.**

W drukarni Noskowskiego, Warecka Nr. 15.



## POSELSTWO Z KRAINY CZARÓW.

(Dokończenie).

**M**ówcie! Opowiedzcie wszystko, coście widziały na ziemi. Czy władza wieszczek nad sercami ludzi przepadła?

— Nie — odpowiedziała śmiało Krętogłówka.

— Czy dary nasze są bezużyteczne? — pytała królowa dalej.

— Są pożyteczne, jeżeli użyte właściwie — odrzekła Krętogłówka.

A Przekornatka dodała:

— Nie zdadzą się na nic tym dzieciom, które same nie przykładają do niczego starania. Leniwemu chłopcu nie pomógł płaszcz mądrości, ani czarodziejskie trzewiki nie mogły się utrzymać na nóżkach próżnej i kapryśnej dziewczynki.

— Wieszczka *Doświadczenia* nauczyła nas tego — dodała Krętogłówka.

— Czy świat ziemski bardzo się odmienił? — pytała dalej królowa.

Wieszczki skłoniły głowy na znak potwierdzenia.

— A w czym? — odezwały się z różnych stron głosy.

— Nie wszystkie ładne dzieci są dobre — powiedziała Przekornatka.

— To dziwne! — zawołały głosy z tłumu.

— Nie wszystkie macochy są złe, jak w bajkach.

A przez niepojęte czary, ludzie umieją robić zdumiewające rzeczy. Nie potrzebują siedmiomilowych butów, bo jeżdżą, siedząc na kółkach, które się toczą szybko, jak błyskawica.

— A! — zawołała królowa. — A dzieci? Cóż dzieci?

— Dzieci... — zaczęła Krętogłówka, i umilkła.

— Dzieci... — przemówiła Przekornatka, i umilkła także.

Cały dwór patrzył na nie z zadziwieniem. Płakały!

— Co to się stało? — zapytał młody modrzew.

— Płacz! — odpowiedział mu stary. — Nauczyły się tego na ziemi!

— Mówcie nam o dzieciach! — wołały młode wieszczki.

— Ja wam za nie odpowiem — przemówiła królowa. —

Krętogłówka i Przekornatka pokochały dzieci i smucały się, że musiały się z nimi rozłączyć. Dla tego płaczały...

Krętogłówka i Przekornatka zaczęły potem opowiadać dzieje swojego pobytu na ziemi. Cały dwór słuchał z zajęciem. Królowa także. Zaledwie skończyły opowiadanie, dało się słyszeć przeciągłe miauczenie, i Czarny Kot przyczołgał się do stóp królowej. Nie był już taki

strojny i wesoły jak dawniej; szedł na czterech łapkach jak najzwyczajniejszy kot; czarna sierść była pokudłana i zabłocona, wychudły był i zbiedzony — zwyczajny kot, włóczęga.

— Królowo! oddaj mi moje buty! — zamiauczał.

— Czy po to, żebyś robił szkodliwe psoty? — zapytała królowa.

— Przysięgam ci, będę twoim najwierniejszym sługą! — miauczał kot.

— On wróci do Baby Jagi i będzie znowu popełniał różne niegodziwości — przemówiła jedna z wieszczek.

— Baba Jaga nie zdoła mi zaszkodzić, jeżeli moi poddani będą mnie kochali — odparła królowa. — O ich miłość rozbiją się jej czary!

— Kochamy cię, królowo! — zawołał cały dwór jednogodnie.

— A więc nie lękam się już Baby Jagi! — wyrzekła królowa. Ciebie zaś — dodała, wskazując berłem na



Czarny kot skoczył z przeraźliwym miauczeniem...

czarnego kota — wydałam z Kraju Czarów na cały rok. To będzie karą za twoje przewinienia. Jeżeli będziesz postępował uczciwie, jeżeli będziesz miał czyste sumienie, możesz tu powrócić za rok. Oddam ci potem twoje buty. A teraz idź! Bądź dzikim, błakającym się po ziemi kotem!

Czarny kot skoczył z przeraźliwym miauczeniem, puścił się pędem i znikł poza drzwiami.

Królowa podniosła w górę berło a cały dwór padł na klęczki.

— Przebaczam wam! — wyrzekła królowa. — Doświadczenie nauczyło was wiele i wiem, że nie będziecie już nadal błędziły. A wy — dodała, zwracając się do Krętogłówki i Przekornatki — chodźcie ze mną do pałacu, i opowiedzcie mi szczegółowo wasz pobyt na ziemi.

\* \* \*

A w domkach i willach letników pod lasem, tam, gdzie latem mieszkały Helusia, Janinka i inne dzieci, niewiadomo skąd przed ich odjazdem znalazła się książka w ślicznej oprawie z tytułem: *Poselstwo z krainy czarów*. Treść tej książki opowiedziałem wam właśnie.

## Z księgi przysłów.

### VII.

Franuś figlarz to znany,  
Ciągłe broi i psoci,  
Dał się wszystkim we znaki  
I rodzeństwu i cioci.

Nowy pomysł do żartów  
Każda niesie mu chwilka,  
Tu coś trąci niechcący,  
Tam znów szepnie słów kilka.

Albo z miną poważną,  
Poważniejszą niż tata,  
Robiąc bratu uwagi,  
Fige siostrze sam płata.

Więc dla wszystkich z tych figli  
Bywa nieraz uciecha,  
Mimowoli się każdy  
Chce czy nie chce — uśmiecha.

Ale czasem przez Frania  
Ostre żarty — gdzieś z cicha,  
Ktoś z rodzeństwa zapłacze  
Lub z kolegów ktoś wzdycha.

Ku przestrodze więc Frania  
Niech to służy przysłowie:  
*Że z żartami jak z solą,  
Nie przesadzaj, bo bolą!*

Lach.

## BRACISZEK KLASZTORNY.



dalekiej górzystej ziemi, zwanej Karyntyą a leżącej na południo-zachód od nas, stał niegdyś u stóp góry klasztor Ossa lub Ossyak. W tym klasztorze dawno już temu, bo ośmset z górą lat, żył braciszek, nieznany nikomu, posługacz. Nikt nie wiedział, skąd przybył i jak się nazywa, bo nie lubił rozmawiać i niechętnie na pytania odpowiadał. Pracował za to gorliwie i najcięższe roboty, których nikt spełniać nie chciał, wykonywał bez najmniejszego szemrania.

Często odmawiał sobie pożywienia i żył tylko suchym kawałkiem chleba.

Ósmego zaś maja rok rocznie nie brał do ust nawet kawałka chleba, ani kropli wody, tylko leżąc krzyżem w swej małej celi, modlił się i płakał.

Mało mówił, lecz gdy się odezwał, znać było, że głos jego przywykł do dawania rozkazów, a teraz nagina się do pokory i posłuszeństwa.

Raz zobaczył chłopców, bawiących się przy drodze.

Chłopcy ci pokłócili się i poczęli na siebie ciskać kamieniami.

Oczy zakonnika zabłysły ogniem, podbiegł do nich co tchu i surowo zawołał:

— Co robicie, nieszczęśni!

Pomiarkował się wszakże i zaraz począł cichym głosem przemawiać:

— Oj dzieci, gdybyście wiedziały, jakie kłęski przynosi gniew, kłótnia i zawziętość, żyłybyście zawsze w zgodzie i nigdy jeden na drugiego ręki by nie podniósł! A gdyby tak rzuciwszy kamień, który z was drugiego zabił, cóżby to było! Przez całe życie nie miałyby potem spokoju i wszędzie, wszędzie widziałyby przed sobą tę ofiarę swego gniewu.

Tak mówił ów zakonnik, a łyzy gorące spływały mu po twarzy, i długie, bolesne westchnienie wyrwało się z jego piersi.

Chłopcy słuchając tej mowy, patrzyli na niego z podziwieniem, lecz głos jego i postawa wzruszyły urwisów.

— Nie płacz, nie płacz, dziadusiu, zapamiętam łyzy twoje i naukę i nigdy już kłócić się nie będziemy.

A któryś śmielszy zapytał:

— Czyś ty widział takiego człowieka, co w złości zabił drugiego?

Braciszek zatrzęsł się cały i stłumionym zawołał głosem:

— Widziałem.

To mówiąc szybko się oddalił.

Kilka lat jeszcze przebywał ów posługacz w klasztorze, aż jednego ranka znaleźli go umierającego na garstce słomy, która mu za posłanie służyła.

Chciano go ratować, dać mu lepszą celę i posłanie, lecz on gasnącym głosem zawołał:

— Dajcie spokój, jam nie wart waszych starań. Jam jest zabójcą Stanisława ze Szczepanowa, biskupa krakowskiego! jam jest ów grzesznik, Bolesław zwany Śmiałym!

Jeden z zakonników zaczął go pocieszać, mówiąc:

— Bóg jest tak dobry, że ci przebaczy!...

Lecz umierający mu przerwał:

— Wiem, że Bóg jest tak miłosierny, że żałującemu przebaczy. Ale ja sobie mego uniesienia i gniewu na tego świętobliwego męża przebaczyć nie mogę!

To mówiąc, wznosił oczy i ręce ku niebu, potem opadł na nędzne swoje posłanie i skonał.

Na grobie leży kamień, a na nim wryty niezgrabnie koń z jeźdźcem, na pamiątkę, że ten grzesznik zmarły był wielkim rycerzem.

Z. Morawska.



## Skrzynka do listów.

**Grażynie.** Znanego włoskiego malarza *Kalti* ani *Kalfi* nie było. Najbardziej zbliżony nazwiskiem był malarz *Calvaert* ur. w roku 1557 w Antwerpii; przeniósł się do Włoch i miał szkołę w Bolonii, z której wyszło wielu znakomitych artystów, um. w r. 1689. Czy studujesz historię malarstwa?

**Ciekawemu** „Encyklopedyę staropolską ilustrowaną” Z. Glogera wydaje sam autor. Adres redakcyi Chmielna 59. Wychodzi zeszytami i będzie się składała z 4 wielkich tomów. Cena tomu — 3 r. Jest to dzieło niezmiernie ciekawe i pouczające, będzie zawierało wyczerpujące objaśnienia do 3,000 z górą wyrazów i nazw. Żądanie twoje, abyśmy wymienili wszystkie dzieła, jakie wychodzą teraz w Warszawie, jest niewykonalne i żadne piśmo, nawet „Książka” nie mogłaby tego w jednym numerze zrobić.

**Dobre rozwiązania zadań, jako też zadania własnego układu nadesłali:** ze Lwowa, Wilhelm Zdobywca, Liceista, Wodnik z Tereku, Litwinka z nad Świętej, Antoni Filipowski, Irenka Straszynska, Felek, Lato, Anielka Kuszłówna, Żuczek, Oleńka i Zośka, Polak, Janek Ciekawy, Blondynka z nad Dochny, Władzio Bortnowski, Elutka, T. N., M. Bemski, Pensyonarka, Grażyna, Biały Gołąbek, Trzy Rączki z Siedlisk, Ogrodniczek z nad Przemszy, Zbyszko, Mściwy Jastrząb, Staś S. z Kurska, Jutrzenka, Duch Puszczy, Oleńka Wścibska, Lilia ze Żmudzi.

Słusznie utrzymujesz **Wielkopolanko**, że mnie żywo obchodzą sprawy dotyczące się duchowego i umysłowego rozwoju moich młodych przyjaciół i że pożądane są mi wiadomości o postępach i zamilowaniach waszych w naukach. O zawodzie autorskim nie myśl przedwcześnie, mając zawsze w pamięci, że dużo się ten uczyć i dużo pracować powinien, co chce mądrym lub natchnionem słowem publicznie przemawiać. Pracuj lepiej w cichości, a jeśli będziesz miała rzeczywisty talent, nic on na tem nie straci, że dopiero w pełnym rozwoju wystąpi na widownię. Toż samo radzić można **Słowikowi**, względem zamilowania jego do pędzla i palety. Towarzyszyć wam będzie moje najszczerze życzenie, aby te piękne zamiary i marzenia urzeczywistniły się w przyszłości. Tymczasem donieście mi, czy kapryśna wiosna, pozwala już na wesołe partye krokietu i mile przejażdżki na grzbiecie gniadego „Zuzeka.”

**Małej Figlarce** uściśnienia załączam.

**Loli z Wilna.** Dziwiłam się twemu długiemu milczeniu, ponieważ jednak własne sumienie robiło ci wyrzuty, ja nie dam ani jednego więcej, a nawet w twej obronie stanę, bo wiem, że mając czas zajęty nauką, trudno jest czasem o wolną chwilę do napisania listu. Bardzo mi się podobał twój zamiar, aby podczas wakacyi przeznaczyć parę godzin dziennie na powtarzanie dawnych kursów lub kształcenie się w przedmiotach, którym

w porze lekcyi mniej czasu poświęcać możesz. Życzyłabym, aby nie jedna z moich korespondentek chciała twój przykład naśladować. Łapania motyli, chociażby w celach kształcenia się, nie pochwalam i nigdy was do tego zachęcać nie będę. Kartkę z wiadokiem Kalwaryi posiadam; czekam wiadomości, czy przyjdzie do skutku twój wyjazd na wieś.

**Mewie z nad Gopła.** Zawczasem, kwiatku, zawczasem przywłaszczylaś sobie tytuł „staruszki,” jeszcze nań parę lat czekać trzeba, bo moje „staruszki” mają po 15, 16 a czasem i więcej wiosen! Bardzo mi przyjemnie zabrać z toba bliższą znajomość, mogę cię zapewnić, że nie znudziłam się przy odczytywaniu twójgo listu. Postaram się wysłać zaginione numeru, obawiam się tylko, czy nie są już wyczerpane.

Słyszałam, że imienniczka moja **Jaskółka z Lipowca** pragnie się ze mną zapoznać, a że nie uczyniła tego dotąd, więc pierwsza się do niej odzywam i odpowiedzi oczekuję. Donieś mi **Jaskółeczko Lipowiecka** o sobie i małej Misi, którą się pewno musisz zajmować troskliwie, jak na starszą siostrzyczkę przystało? Wiem, że się pilnie do nauk przykładasz i, że w nagrodę zaprenumerowała ci mama „Wieczory.” Ale czy równie chętnie bierzesz się do robót ręcznych, tak potrzebnych każdej panience, mam nadzieję przekonać się tem naocznie, bo przed wakacyami ogłosimy konkurs robót ręcznych, a ty do niego należeć będziesz, nieprawdaż?

Winszuję ci nowej godności **Oleńko Wścibska**, a jak jest miłą, aż nadto pojmuję, pamiętam chwilę, gdy po raz pierwszy zostałam ciocią i dumną byłam z mego pierwszego ciemnowłosego siostrzeńca. Szkaradny ból zębów popsuł ci wakacje święteczne, oj te zęby, takie twarde zda się i mocne, a tyle dbałości ciąglej potrzebują. Pierwszy warunek ich zdrowia, to częste mycie szczoteczką i kredą, zwłaszcza wieczorem i plombowanie, gdy się tylko mała skazka zrobi. Może podczas wakacyi dopomożesz młodszej siostrzyczce do ułożenia łamigłówek, zrobisz jej tem pewno wielką przyjemność.

**Mściwy Jastrząb**, w rymowanych słowach wypowiada zamilowanie swe i chęć dążenia ku wszystkiemu, co dobre i piękne.

Przytaczam mały ustęp:

„Więc kocham znój, trudy oraz każdą pracę,  
Która myśli rozpierzchle utrzymuje w mierze.  
Lubię system, porządek, a kiedy zobaczę  
Bezład, próżnowanie — to boleję szczerze.”  
A w końcu Jastrząb zadaje pytanie.  
Czy kiedy dobrym poetą zostanie?

na co mu odpowiem

„Trudno z tej próbki sądzić, mości panie,  
Lecz wiedz, że poezją nie jest rymowanie.

Zapóźno pytałeś **Duchu Puszczy**, czy możesz stanąć do konkursu kaligrafii, gdybyś przeczytał uważnie warunki, byłbyś się sam dowiedział, że i twoi rówieśnicy o nagrodę ubiegać się mogli.

Jaka „dzielna dziewczynka” rzekłam odkładając do odpowiedzi przeczytany przed chwilą list **Sarenki Modrookiej**. Więć się pomyliłaś przypuszczając, że nazwę cię „nudną” i na twe piśmo niechętnie spoglądać będę. Sądzę, że zbytnia skromność podyktowała te słowa, bo wszystko, co donosisz, żywo mnie zajmuje. I chęć twa do nauk i zamiary na przyszłość, dobre i umiejętnie spożytkowanie czasu, a uczeniu i pracy nad trochę roztrzępą siostrzyczką przyklaskuje z całego serca i wierzę, jaka to będzie radość, gdy zda egzamin do 1-ej klasy. Nie jestem panią L. H. tylko zwykłą sobie czarno-piórą ptaszyną, która ciebie i *Niczapominajkę* pozdrawia serdecznie.

W redakcyi nieomal co tydzień widziałam rozwiązania, lub też nowe zadania, od **Elutki M.** i trochę zazdrośnie spoglądając na nie, pytałam w duchu, a czemuż to ze mną ta flutka zapoznać się nie chce? Uczyniła to w końcu i obdarzyła mnie miłym listem. A więc pierwsze lody złamane. O umieszczenie twych łamigłówek poproszę.

Cieszę się **Pertowa Muszelko**, żeś do zdrowia powróciła i na pytania kolejno odpowiadam. Nuty pomieszczamy dość rzadko. Nazwisko moje podpisuję przy końcu odpowiedzi. „Co znalazłem w błotach i kałużach” opowiada p. Marya Weryho.

**Jutrzenca** żadaną książkę wysyłamy.

**Jadzi F.** Początek znajomości naszej upamiętniłaś dobrym uczynkiem, niewłaściwie tylko ofarę swą uważasz za skromny datek. Szlachetna intencja podnosi wartość każdej ofiary, a daje zawsze dużo ten, kto z dobrego i szczerego daje serca. Ja również rada będę z możności bliższego z tobą zapoznania, będąc z góry dobrze uprzedzoną o dziewczynce, która z taką gotowością otrzymane pieniądze pragnie zbierać dla biednych dzieci, potrzebujących świeżego powietrza.

Odgadłaś **Kurpianko**, że bardzo dzieci kocham, w serduszkach wasze chciałabym siać ziarenka miłości Bożej, pożytecznej nauki, zamiłowanie prawdy i cnoty. A widzę, że takie dobre ziarenka w twem 8-o letnim serduszkach i główce zaczynają kiełkować, kiedy tak chętnie zabierasz się do nauki. List bardzo porządnie napisany, świadczy o twej uwadze i pilności, nie dajże mi długo czekać na następny.

Z jednaką zawsze radością witam listy wasze, kochane moje i dawne przyjaciółki **Trzy Raczki z Siedlisk**, a choć dłuższy czas nie mam od was wiadomości, nie posądzam byście o mnie zapomniały, bo ogniwa naszej przyjaźni od tylu lat zadzierzgnięte, trwałemi nazwać możemy. Szkoda, że najmłodszy **Raczek** nie należał do konkursu kaligrafii, bo nie wątpię, że nagroda by go nie ominęła. Wiosna tegoroczna bardzo kapryśna, słońce trochę ogrzeje i wnet zimny wiatr chłodzi, lub napędzonemi chmurami zaciemnia jego złote promienie. Tenna bardzo lubię i grywam codziennie, więcej jednak na wsi, niż w mieście. Najstarszemu **Raczkowi** za dopisek dziękuję i z niecierpliwością oczekiwać będę zapowiedzianego długiego listu. Pozdrowienia i wyrazy najszczerzej życzliwości przesyła wam wierna przyjaciółka.

Pismo twe **Chryzantemie** tak podobne do pisma **Marysieńki**, iż myślałam z początku, że to ona pisze i ze zdziwieniem czytałam, dla czego pragnie się zaliczyć do mych korespondentek, gdy już dawno należy do nich. Dużo wiem i słyszałam o was, bo znam wielu waszych bliższych i dalszych krewnych, każda więc od was i o was wiadomość, żywo mnie zajmuje. Życząc ci jak najprędzszego powrotu do zupełnego zdrowia, dalszej się waszej pamięci polecam.

Chcąc jak najprędzej pocieszyć **Oktunię i Antolka Żmigr.** zmartwionych brakiem dwóch numerów, posłałam im natychmiast po otrzymaniu kartki. Dowiedziałam się, że z wielkiem zajęciem czytujecie „Wieczory,” chowacie je porządnie i chronicie od zniszczenia. Należy wam się za to pochwała i zachęta, byście w dobrym zwyczaju nie ustawali. Spodziewam się, że **Oktunia**, a może i **Antolek** napiszą sami do mnie, a szczerze mnie tem uradują.

**Wygnanemu Urwisowi, Lili ze Żmudzi, Braciszкови Rybitwy i Małemu Tolusiowi** za kartki bardzo dziękuję i pozdrawiam serdecznie.

Za mojem pośrednictwem **Biała Kulka** z **Kijowa** dziękuje **Myszcze** i prosi żeby jeszcze kiedy do niej napisała przez „Wieczory.”

**Blondynka z nad Dochny** donosi **Łochozwiance**, że mieszkająca w **Berszadzie**, **Łochozwianka** prosi **Konwaliijkę i Podolanekę**, aby jej za mem pośrednictwem przesyłały swe adresy, jeżeli chcą z nią korespondować.

Z powodu licznej korespondencji, odpowiedzi na listy później otrzymywane od kochanej **Łochozwianki, Blondynki z nad Dochny, Prządki złotych nici i Pufci**, odłożyć muszę do następnego numeru.

Do widzenia zatem

Jaskółka.

## ZAGADKA.

przez J. P.

Jedna litera przemienia odrazu

Całe znaczenie wyrazu.

Weźcie narzędzie, bardzo dobrze znane,  
Na wsi przez lato wszędzie używane,  
Literę zmienić tylko początkową,  
A mieć będziecie rzecz zupełnie nową:  
Postać to wody, wśród lata widziana,  
Lecz tylko późno wieczorem i z rana.  
Zmieńcie znów, a ujrzyście kobietę ubogą,  
Co stapać musi nieobutą nogą.  
A skoro pierwszej litery nie stanie,  
Zjadliwy owad tylko pozostanie.

## ŁAMIGŁÓWKA KRYSZTAŁOWA.

(uł. Bratek).

1. Spółgłoska.
2. Ma cztery wąsy, trzy pary nóg.
3. Dopływ Odry.
4. . . . .
5. Dopływ Noteci.
6. Liczebnik
7. Samogłoska.

Rząd środkowy i środkowe litery złożone mają nazwę części Karpat.

## ZADANIE KONIKOWE.

uł. Filomen.

Sza	ko	się	aż	wne
nikt	się	co	ja	nie
sma	wie	psu	zdro	jesz
ze	wie	ku	do	jesz

## ROZWIĄZANIA DO N-ru 17.

Zagadki: Trop — port.

Łamigłówni sylabowej.

## Ogłoszenie.

### TEATR MARYONETEK.

Chmielna 9. 1-e piętro.

Od 25 kwietnia wystawia nową sztukę M. Lipskiej w 4 aktach „W Ukrainie wiecznego wesela”

Przedstawiającą losy Jagusi, córki leśnika, porwanej przez rusałki i krasnoludki, urozmaiconą śpiewami i tańcami. Oprócz tego *Satuki ekwilibrystyczne, Obrazy niknące i kinematograf.*

Przedstawienia odbywają się co czwartek i sobotę o 5-ej po poł. W niedziele o 4-iej i 6-iej. Cena miejsc od 75 k. do 20 k. za krzesło.